

MOJA MAŁA OJCZYZNA

Pojęcie małej ojczyzny utożsamia się z najpierwszą pamięcią (miejsce urodzenia może tu nie mieć nic do rzeczy). W wieku dojrzewaną krajobraz tej pamięci szybko ulega poszerzeniu, z reguły za sprawą kontaktów rodzinno-koleżeńskich: bywania u krewnych, a u schyłku dzieciństwa i na progu dojrzewaną — u kolegów szkolnych. Coraz częściej za horyzontem landszaftu wzrastania. Znamienne, że prawie nic nie pozostaje na ekranie wspomnień z wycieczek szkolnych do dalekich miast czy wakacyjnych obozowisk, z wyjątkiem może trwałego osadu tęsknoty za domem matczynym... Zatem, mała ojczyzna dzieje się głównie w sferze uczuciowej. Matryce racjonalne wynurzają się grubo później.

Termin “mała ojczyzna” implikuje istnienie “dużej ojczyzny”. Tę pierwszą, zaczątkową, ma się raz na zawsze, niczym owo miejsce urodzenia. Druga natomiast jest kategorią wybitnie ideologiczną, kojarzącą się z przynależnością państwową. Nie da się zmienić faktu, że moje, Sokrata Janowicza, przyjście na świat i wzrastanie weń działo się w Krynkach. Wówczas, w 1936 roku, powiększyłem liczbę obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Po trzech latach moją dużą ojczyzną stał się ZSRR, a po kolejnych dwóch latach znalazłem się w Nowych Prusach Wschodnich, czyli w III Rzeszy Niemieckiej, anektującej te ziemie. Ciągłe biegając po tych samych zaułkach swego miasteczka lubo kąpiąc się w pobliskiej rzeczulce Krynka, nigdzie nie ruszając się poza wzniesienie Prafitka na skraju horyzontu, odbyłem jak gdyby parę podróży zagranicznych... Różne ojczyzny pochłaniały moją jedyną małą.

Tyle z grubsza na płaszczyźnie zawłaszczeń terytorialnych, zasadniczo ważnych, bo decydujących o takim a nie innym losie jednostkowym, będącym funkcją losu społecznego.

Wróciła Polska w te strony i moja mała ojczyzna stała się jej integralną częścią, po raz wtóry zresztą (nie mówimy o Pierwszej Rzeczypospolitej, bowiem federacyjny jej człon litewski zahaczał o obrzeża dzisiejszego Białegostoku).

Gdybym był Polakiem, a moja mała ojczyzna rdzennie polską, wówczas komplikacje w snuciu refleksji o niej okazałyby się znacznie prostsze. Tymczasem do aspektu narodowościowego dodać jeszcze muszę aspekt konfesyjny, ową peryferyjną smugę prawosławia. Ileż w rezultacie tego wypadu dźwigać obciążeń: Białorusin — obywatel państwa polskiego, prawosławny — dwuprocentowy szczątek w ogólnie katolickim narodzie; plebejusz wreszcie, czym nie należy się u nas szczycić. Nie będę wygrzebywał zgoła osobistych uwarunkowań, starcza aż nadto wyliczonej triady: Białorusin — prawosławny — plebejusz (albo i gorzej: wieśniak!).

Moja mała ojczyzna ma wydzwięk zdecydowanie dramatyczny! Wynika to ze znanej definicji psychokulturowej: patriotyzm rodzi się na progu domostwa ojcowskiego. Nie pokochawszy zapyziałych Krynek — nie pokocha się Polski. Odzegnując się od najpierwszej pamięci, popada się w kompleks sierocości, skąd bliżutko do janczarstwa duchowego, wykorzenia i zagubienia na obszarach życia. Dotykam więc nawet waloru zdrowotnego? Ależ tak! Kryneckie okolice przodują w krajowych statystykach rozpaczliwych samobójstw i chorób psychicznych.

Psycholodzy wiedzą, że pamiętanie rzadko sięga poniżej trzeciego roku życia. Z września 1939 roku utkwily w mym mózgu dwa mgnienia: hałaśliwie jadące po bruku ulicy Sokólskiej sowieckie czołgi, które musiały na mnie wtedy zrobić piorunujące wrażenie, oraz zapłakani z radości Białorusini, sąsiedzi, obrzucający tankistów bukietami kwiatów z ogródków panińskich. To urośnie z czasem do miary symbolu w uczuciach. A symbole, jak wiadomo, z trudem poddają się racjonalizacji. Środowisko rodowe nigdy nie jest uświadamiane samoistnie, lecz zawsze w opozycji do obcości, najpierw poza kręgiem familijnym.

Gdyby nie prędko następujące po sobie wojny, owo zderzenie z innością nie byłoby tak szokujące. O Polakach ledwo słyszałem. Byli nimi ludzie z sąsiedztwa, tacy sami jak i my, nędznie wegetujący na karłowatych gospodarstwach i posługujący się tą samą mową. Tyle tej różnicy postrzegałem w nich, że w niedziele i święta udawali się na nabożeństwa do kościoła, zamiast do cerkwi. Prawdziwe zadziwienie natomiast wywoływali Rosjanie (czy też zrusyfikowani Białorusini), nasyłani przez centralę mińską do służby w administracji, szkolnictwie oraz w organach ścigania. Matula przyjęła do naszej chaty ruską lokatorkę, rudowłosą Anię, nauczycielkę, do której "smałił cholewki" jej kolega Szaternik, srogi brunet. Bałem się go wprost alergicznie, a to z dwu powodów: gadał w mało zrozumiałym mi języku, a także wziął sobie na ambit nauczenie mnie czytania i pisania. Była to przedziwna nauka, jak to teraz rozumiem: literki i teksty białoruskie, zaś sam pedagog po moskiewsku obcojęzyczny. Oj, polało się mych łez!

Rosyjskość zdominowała wszystko, nawet rozkręcające się wywózki na Sybir i błąd strach przed kołchozami. Mówię o sobie, cztero- i pięciolatku. Bo wnet zwała się na nas kolejna obcość, niemiecka, wymiatająca tę wrześniową, drugowojenną. Wówczas dopiero zacząłem kontaktować z polskością, początkowo emanowaną przez siejącego przerażenie, mazurskojęzycznego Prusaka Schatenberga, a wkrótce przez wszelkich tłumaczy amtskomisarza, żandarmerii i Hilfspolizei; także w półlegalnej szkółce prowadzonej przez grono uchowanych z przedwojnia pań nauczycielek z ulicy Grodzieńskiej. Działały zarazem agendy białoruskie. Z dookólnych lasów na dobitkę wyciągały się macki partyzantki sowieckiej, bazującej w miasteczku na cywilnych pozostałościach osiadłych tutaj ludzi radzieckich. Okupacja wyrzuciła niewyobrażalny w dzisiejszej dobie konglomerat białorusko-rosyjsko-polsko-niemiecki z dodatkami ukraińskimi w postaci licznej policji posiłkowej z Komisariatu Ukrainy, usuwając jedynie rozkrzewiony do niedawna komponent żydowski, który zanikł, zanim dane mi było odbierać świat. Makaronizm odzywek

u rówieśnych mi, przedwcześnie dorastających dzieci da się scharakteryzować następująco: białoruszczyzna uchodziła za normalną w codziennym bytowaniu, rosyjski nadawał się do cerkwi i konwersacji z Panem Bogiem, polski znakomicie dowartościowywał jednostkę w jej chętkach wywyższenia się ponad pospólstwo, po niemiecku pisano podania do różnych "amtów" lub listy do mężów i ojców w niewoli gdzieś w Saksonii albo w Prusach; ukraiński pasował do anegdot. Niemal pięciojęzyczne indukowało schizofreniczne rozszczepienie jaźni, a w praktyce kończyło się to tym, że w miarę przyzwoicie nie potrafiono posługiwać się żadnym z wymienionych języków; z wyjątkiem może białoruskiego, którym wyręczano się z braku środków leksykalnych w którymś ze szpanowanych aktualnie.

Wielonarodowe oddziaływanie na jednorodną etnicznie białoruską masę autochtoniczną, mające miejsce w dobie wielkich wojen, musiało charakteryzować się naciskami głównie siłowymi; wpływy kulturowe w takich sytuacjach stawały się zjawiskiem wtórnym, przez jakiś czas zupełnie nieistotnym. Wchłaniano minimum leksyki niemieckiej, żeby móc wyrozumieć żandarma. Posyłano dzieci do szkoły polskiej, aby zapewnić im poręczniejsze poruszanie się w dalszym świecie. Objasniano nawzajem sobie niezrozumiałe rusycyzmy dla potrzeb konfesyjnych. Wielu umiało po żydowsku. Nie zabiegano o ukraińszczyznę, cień Ukrainy bowiem nasuwał się na te połacie sporadycznie i nieodłącznie w towarzystwie Niemców. Starania o białoruski natomiast zawsze kwitowano zdumieniem, jako że nikt nie miał problemów z pojmowaniem go, a przydatność tej mowy ojców jakoś nigdy nie wykraczała dalej chlewów i pól, no, lasów oraz rynków w targowe czwartki. Pragmatyzm chłopski nie cenił idei narodowej, nie widząc w niej szansy na poprawienie bytu całej klasie społecznej. Pewne wzięcie miała polskość w otocze przykościelnej, ze względu na długo trwające zagrożenie rosyjsko-prawosławne.

Ojczyznę stanowiły: dom, matka, ojciec, brat, ciotki, wujkowie, obejście, pies podwórzowy, kury, owce, krowa, łany

zbóż, łąka, cerkiew, wesela, chrzciny, pogrzeby, koledzy (potem koleżanki), wieczornice, zabawy na pastwisku, horror folklorystyczny. I tysiąc innych przedmiotów oraz sytuacji, nigdy zaś posterunek policji czy szkoła albo urząd jakowyś, które eksponowały tę drugą, narzuconą, przychodzącą wraz z oddziałem zbrojnych.

Lecz biegły lata, przybywało ciała, ducha i rozumu, trzeba było myśleć o życiu, i wtedy zaczynała rosnać wprost w oczach (właśnie) ojczyzna ideologiczna, państwowa. Nie za bardzo zabiegająca nawet o twe uczucia, serce. Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych pozostawił po sobie w Krynkach największe spustoszenia. Doszło do znanego w socjologii exodusu ludności do miast, zwłaszcza młodzieży podążającej do szkół (bez najmniejszego zamiaru powrotu). Wspominam ówczesne autobusy PKS i pociągi; nieodmiennie kojarzą mi się one teraz z migawkowo zapamiętaną ewakuacją wojenną, pierwiej Sowietów z rodzinami; potem tłumnie wycofywali się Niemcy, za Stalina wlokąc za sobą kilometrowe tabory kolaborującej z nimi wszelkiej maści ludności z dawnych kresów i znad cichego Donu. Uciekłem i ja. Nie na Śląsk czy Pomorze, ale całkiem blisko, do ogromniejszego Białegostoku, w którym dzisiaj mieszka nieomal co drugi mieszkaniec Białostoczczyzny. Typowo kolonialny rozrost aglomeracji, metropolia i busz, afrykanizacja.

Znalazłszy się jako uczeń technikum w Białymstoku, chorobliwie zatęskniłem za Krynkami, przypłaciwszy to początkami gruźlicy. Odkryłem, nieprzeczuwany wcześniej, paradoks małej ojczyzny: tkwiąc w niej, nie lubi się jej... Przydaje się więc oddalenie. Nareszcie rozumie się poetę i jego słowa: *Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie...*

Nie przypuszczałem, że w stosunkowo nieodległym Białymstoku wszyscy mówią po polsku. Nie przypuszczałem także, że nikt tutaj nie orze ani nie sieje. Praca w fabrykach i w przeróżnych zakładach wyglądała mi na udawaną, mało potrzebną; szacunek budziły w pierwszej kolejności sklepy spożywcze i

mordziaste w nich sprzedawczynie, elektromonterzy włączący na słupy z przewodami, usmoleni mechanicy i ślusarze, może jeszcze krawcy... Chciało się zostać nauczycielem, bo taki nic nie robi, gada ciągle to samo, a pieniądze bierze podobno wcale grube. A tak w ogóle żyje się w mieście nieporównanie łatwiej, lekko i przyjemnie. Zjeżdżając na święta do rodziców, mój rocznik kurdupli niedożywionych na tyle podciągnął się na stacjach do wysokości słusznego wzrostu, że wywołał panikę u matek, nie nadążających z szyciem nowych ubrań ze zgrzebnego materiału (krosna w domostwach łomotały w przyspieszonym tempie). W białostockie noce śniła się ojcowizna za smugą lasów supraskich i, jednocześnie, obawiano się jej za dnia: odstręczała przednówkiem, młócką na dwa cepy, wykopkami w jesiennych brzdach zaciągniętych mgłą pól, przeklętą zwózką snopów po żniwach, kiedy to na wybojach Hliniszcza wywracały się wysoko ładowane fury na drewnianych kołach z obręczami; od szarpaniny sierpem dostawało się wrzodów na mięśniach; podczas pasania stadka krów, tuż po wschodzie słońca, oczy kleiły się w marszu i można było usnąć chociażby w kałuży z kompotem niedotrąwionych zwierzęcych odchodów. Spora część skąpego zasobu słownictwa składała się z form obscenicznych. Zdarzały się wśród pastuszków zawody recytatorskie na coraz wymyślniejsze połajania, zasłyszane, oczywiście, u osób starszych. Rozmawiano głośno i soczyście; stąd miejskie uprzejmości zdały się nieznaną dotychczas epidemią psychiczną, szpitalnianym niedorozwojem. Tam same saskie pierdoły ufające byle słowu.

Białystok prześladował moją małą ojczyznę, kpił z niej, ile tylko chciał. Z mojej winy zresztą, nieczęsto bowiem broniłem jej honoru. Nie mogłem, brakowało mi argumentów. Dobijano akurat tym, czym gnębi się biedaka w jakimkolwiek zakątku globu: niewspółmiernością wkładu pracy do jej efektów. Ubodzy wszędzie dychawicznie harują i mało z tego mają. W odpowiedzi zazwyczaj poetyzowałem, emablując rozmówców pięknem przyrody rodzinnej, urokami patriarchalnych obyczajów, barbarzyńską

tajemniczością zakamarków, metafizyką zapomnielisk. Owszem, potakiwano mi i ziewano, czym prędzej żegnając się ze mną sakramentalnym zdankiem “No to cześć!” Sam się dziwię, że nie wyszturano z mej duszy do końca owych ciągót do stron mego urodzenia. Później sporo podróżowałem po dużej ojczyźnie, Polsce, widując się z niegdysiejszymi krynkowskimi kolesiami, którzy udanie zaszyli się na Ziemiach Odzyskanych (od Ełku po Gdańsk, Szczecin, Wrocław i Jelenią Górę). Z niejakim smutkiem stwierdzałem, że niezbyt chętnie palili się oni do ujżenia mnie po dekadach, a jeśli już, to cholerycznie pomstowali na swe głodne i chłodne dzieciństwo, tudzież łachmaniarską młodość. Z zaciekłością amerykańskiego imigranta parli do przodu. Rozumiem, że hołysz nie tęskni za minionym; trudno być patriotą tej ziemi, która, prócz cierpień, nic ponadto nie pozostawiła w najpierwszej pamięci.

Jednakowoż owa kolebka poskrzypywała im po kątach w chwilach samotności na udywanionych pokojach M-2 lub M-3, czasami aż M-4. W pijane imieniny; w suto zakrapiane popijawy przy sobocie po robocie, szczególnie w dni wypłat puszczały hamulce. Każdy każdego licytował swoim ojcem, obowiązkowo światłym i przy kabzie. Mitologizowana wówczas mała ojczyzna urastała do rangi cudu, bujnie zieleniła się w wyobraźni jako kraina wiecznej szczęśliwości, wręcz złotego runa. Zagadką psychologiczną z pozoru było to, że nie słyszało się docinków na temat ewentualnego zawrócenia do niej z bulwarów miast. Po prostu wszyscy wszystkim wciskali kit, a w takich razach złośliwostka powraca bolesnym bumerangiem. Nie ryzykowano przeto, przybierając pozę poważnego zasłuchania. Delektowano się jasnotą przeżycia, wydumaną Arkadią, nie pozbawioną pewnych rzeczywistych przesłanek. Jeśli przyjąć, że bez mitów kultura jest chora, w każdym bądź razie oziębła, a idea jako taka zawsze wynurza się i nabiera konturów z lirycznych oparów dowolności, niczym Afrodyta z morskiej piany, to bez ówczesnej masowej migracji — tylko po części wymuszonej przez

gigantomański system władzy — kategoria pojęciowa małej ojczyzny długo jeszcze dojrzewałaby społecznie w embrionalnie błogim uśpieniu. Mojej matce nie wytłumaczę tego pojęcia, potraktuje je bowiem z irytacją, jak gdybym opowiadał dla niej “duby smalone”; wyjeżdżała ona, owszem, tu i ówdzie na dni kilka, może kiedyś na tydzień albo i dwa do brata za granicę, co pobok Krynek. Feudalizmu nie zżerała nostalgia; przemieszczenia mas ludzkich w nim odbywały się w nader ograniczonej skali kupna-sprzedaży chłopów pańszczyźnianych czy włóczęgi Don Kichotów.

U moich rzymskokatolickich polskich przyjaciół zauważyłem jednak wyraźnie słabsze zwrócenie się ku własnej małej ojczyźnie. Od czasu do czasu w ich duszy coś tam gra, lecz nie aż tak przywołująco, jak u prawosławnego Białorusina spoza Białegostoku, z głową trwale skręconą w stronę swej enklawy konfesyjno-językowej. Ku ojczyźnie w ojczyźnie, a to trochę nie to, jak — na przykład — w przypadku górala z hal... Na ile kapitałnie może znaczyć religia złączona w dodatku z poczuciem narodowym, tragicznie ilustrują nam najnowsze konflikty na kontynencie.

Moją małą ojczyzną jest zarazem siedziba tej części mojego narodu i wyznania wiary, która wchodzi w skład obywatelstwa polskiego i stanowi zrosniętą jego gałąź. Coś w rodzaju jednego pnia jabłoni, rodzącej odmienne owoce... Tej ojcowizny nie da się zapomnieć do cna lub na śmierć zamilczeć.

Przeszkodzi temu nie tyle ukulturalnianie się społeczeństw, co dalszy bieg rozwoju cywilizacyjnego. Szykująca się rewolucja technologiczna, kolejna zresztą, która tym razem nie będzie potrzebowała prostego przemysłu, koncentracji narzędzi pracy i siły roboczej w wybranych miejscach, w określonych administracyjnie ośrodkach. Już udaje się gdzie indziej w świecie mieszkać nad jeziorem pośród lasów i rytmicznie, dzień w dzień, wykonywać etatowe czynności w swej firmie. Czekają nas dekoncentracja aglomeracyjnych olbrzymów, których

bezdyskusyjna sensowność ekonomiczna właśnie się kończy. Oczywiście, bez skrajności, jako że nigdy nie bywa tak, by jakaś formacja okazywała się kompletnie wyczerpana, niczym przysłowiowa studnia na pustyni. Jedna wchodzi w drugą, poprzednia w następną. Monstrualne skupiska gospodarczo-demograficzne przestaną się rozrastać, ale jedynie na arealach o wysokim stopniu rozkwitu materialnego. Dobrym przykładem tutaj są Niemcy, na terytorium których nie widzimy magnesujących wszystko Paryżów czy Warszaw; landy przypominają sobą państewka. Nie przypadkowo zatem na ich obszarze wytworzył się termin “Heimat”, w przybliżeniu odpowiadający naszej zbitce pojęciowej: mała ojczyzna.

Białemstokowi póki co niezwykle daleko do pozbycia się “kompleksu Paryża”; wysysa region niczym rak organizm. Ale już są widoczne granice tej anomalii rozwojowej. Wsie i miasteczka w zasadzie wyzbyły się rezerw ludnościowych, niektóre nawet przesadnie, importując teraz po trosze element wielkomiejski, niebezpiecznie lumpenizujący się. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie normalizacji w Polsce, wkrótce ideologia małych ojczyzn wkroczy w swe apogeum. Zaprzestaniemy plucia w kurz i pajęczyny zaścianków, kochając jedynie stolicę, a pomieszkując w tymże Białymstoku czy Hajnówce tylko dlatego, że tak się akurat połowicznie, niestety, poszczęściło w życiu (miast wyśnionego Żoliborza, a lepiej — Nowego Jorku).

Wzgarda do ojcowizny nie była znana w środowiskach arystokracji oraz zamożnego chłopstwa. Proszę zwrócić uwagę na ową dychotomię, którą postrzega badacz mechanizmów kształtowania się nacji europejskich. Czynniki własności generował demokratyzm i odrodzenie? Zapewne, lecz nie wyłącznie. Fabrykant, dajmy na to, również czuł się właścicielem, jednakże włócił się w ogonie wyzwoleniczej irredenty, czujnie zerkając na boki, by nie oberwać po plecach... Cóż więc głównie decydowało? Ano ziemia! Pieniądze — tak, ceny — tak, rynki zbytu — tak, ale tylko ziemia koła zakotwiczeniem, zapuszczeniem korzeni. Na

dobrze i na złe. Niechaj to będzie archetyp psychospołeczny. Czy wypada dziwić się, że każda władza narodowa zdolna jest prawie do wszelkich ustępstw, dyktowanych ciśnieniem sytuacji, z wyjątkiem terytorialnych. Jeśli — bywa — posunie się i do nich, to obsesyjnie nie może pozbyć się odruchów rewindykacyjnych. No, ale to państwo. Biedak z piaszczystych morgów, załapawszy się do fabrycznego raję, nie miewa podobnych zgryzot. Jest nieprzyzwoicie uradowanym facetem, któremu trafiła się złota rybka: umiarkowany wysiłek, stale czynna kasa, mała bo mała, ale gwarantująca bezpieczeństwo socjalne.

Zwrot ku małym ojczyznom to konieczność dziejowa. Taka sama, jak upadanie barier granicznych w wymianie towarowej. Rzucone ongiś przez de Gaulle'a hasło Europy ojczyzn nie było francuską elegancją w polityce, lecz przecuciem przyszłości. Euroregiony poszerzyły interpretację tego zawołania — wizja wielkiego prezydenta nie urywała się na kanadyjskiej koncepcji jedności w różnorodności czy Parlamentu Europejskiego, integrującego rządy i państwa. Sięgała w głąb samej natury formowania się połąci narodowych albo i gumilowskiej tezy falowania dziejów. Dzisiaj mówi się o decentralizacji władzy, organów administracji, ograniczeniu roli struktur państwowych, przycięciu pazurów ich wszechwładności. Heglowskie “schody” sprzeczności — teza, antyteza, synteza — chyba sprawdzają się i w tym wypadku: nadopiekuńczość etatowego molocha przeistoczyła się w swe przeciwieństwo intencjonalne, jak zabójcza dla samodzielności dorastającego dziecka tkliwość macierzyńska, drobiazgowo wyręczanie go w kłopotach...

Dopatrzyć się czytelnej analogii między patriotyzmem regionalnym a narodowym. W tym i w tamtym idzie nade wszystko o poczucie własnej wartości, bycie na własny rachunek, które hartuje charakter, zwalcza pieczeniarnstwo, prostytutkę duchową, samozniewolenie. Są i przeciwstawności. Docelowym dążeniem narodowości jest państwo, zapatrzenie w centrum (“Cały naród buduje swoją stolicę!”). Regionalizm nie ma szans w

warunkach konfliktów międzynarodowych; znamienne, że gospodarka też. Przeważa ruch regionalny, kultura małej ojczyzny niechybnie powstaje w grze o jakość życia. Liberali forsują zasadę regionalizacji w przeprowadzeniu reformy podziału administracyjnego kraju; idzie im o całości ekonomiczne, o Wielkopolskę, Pomorze, Podlasie itd. Ich przeciwnicy nie dbają o to, kierując się raczej usprawnieniem aparatu rządowego, na zimno kawałkując historycznie ukształtowane dzielnice. Cóż po zarzucie, że Niemcy by tak nie zrobili...

Komuniści zaciekle zwalczyli przejawy kultury małych ojczyzn, ponieważ przeszkadzało im to w orwellowskim skoszarowaniu ludności, poddaniu jej drobiazgowym regulaminom i statutom. Ulubiona przez nich wojskowa terminologia obracała się wokół kategorii planowania sztabowego, taktyki i strategii.

Niepodobna restytuować małopolskie postawy za pomocą nacisków moralnych. Zgrzeszylibyśmy fanatyzmem, osiągając skutki raczej elitarne, chociażby w postaci osadzenia w okolicy kilku twórców kultury, najlepiej autochtonicznego pochodzenia, o których najgłupszy cymbał z sąsiedztwa wiedziałby, że pieniądze robią oni mimo wszystko w Warszawie lub w Krakowie, tutaj zaś wyprzedzili sobie dachę. Pięknych posiadłości by przybywało, zaś samo okole nadal będzie pustoszeć, powrócą lasy i dzika zwierzyna. Nie o takie rezultaty warto kruszyć kopie.

Należy unikać etosu ofiarności. To odstrasza, a nawet kompromituje samą ideę. Mała ojczyzna — brutalnie mówiąc — powinna stać się dobrym interesem. Pod tym jednakże warunkiem, że zacznie on kręcić się wówczas, gdy pieniądź pójdzie w parze z kulturą. Nie widać jakos ludów zamożnych a ciemnych lub oświeconych a przymierających głodem... Boję się kolonializmu metropolii względem interioru; fabrykanta w Krynkach, który potraktuje je cwaniactwem, w ciasnych ramach koniunktury. Musi to być biznesmen-patriota, wyznający następujący cel: mała ojczyzna nie jest zesłaniem nędznego losu z niebios, od którego nie udało się

tutaj wymigać, lecz niedostrzeżoną na razie szansą na normalne istnienie w Europie. Trzeba nam odkrywcy, a nie łowcy okazji.

Oczywiście, nic się nie dzieje w izolacji. Duża ojczyzna limituje parametry małej. Stołeczna wścieklizna zaraża również tutejsze kundle. Najpracowitszy gospodarz przepadnie z kretesem, opłątany państwowymi absurdami. Stąd tak ogromna waga powszechnego uznania dla uniwersalnego sensu Itaki w bezmiarze Hellady.

Porywająca wizja to nie to samo, co magiczne myślenie. Tępmy chciejstwo, które ma właściwości chwastów; wyrasta natychmiast i w każdych warunkach. To dzikie wino ma gorzkie owoce. Pleni się — o dziwo! — na jałowym gruncie niekompetencji. Poeci działania są nieszczęściem, nie dopuszczajmy ich do orki, bo zrobią to ładnie i byle jak. Pegaz szybko pada na kolana w obroży pługa. Potrzebny jest bowiem prozaiczny pozytywizm, mentalność “pознаńskiej pyry”, nie zaś królewiackiej siłaczki. W białoruskim białostockim kraju jeszcze nie do końca wyśmiano pracę, mrówczą zaradność. To nic, że buchalterów państwa polskiego irytuje Ściana Wschodnia. Oni póki co nie wiedzą o tym, że przygraniczne położenie gdziekolwiek na kontynencie obecnie bogaci.

Moja mała ojczyzna nie jest koniecznym warunkiem istnienia Polski. To Polska jest niezbędna dla niej, by nie poddać się zarastaniu puszcza. Polska, jako dobry sąsiad Białorusi, działając na zasadach euroregionów ma szansę wyłubudać się z zapyziałej peryferii na szeroką prostą do celu, jakim zawsze będzie wygaszenie — wśród tubylców syndromu tymczasowości, czechowowskiego szykowania się do życia, zamiast cieszenia się istnieniem, samym swym przyjściem na świat Boży. Trzeba odebrać perwersyjną rację pewnej pani profesor z Warszawy, zatrudnionej w jednym z instytutów badawczych w Białowieży, która z nonszalancją wypowiedziała się na łamach białostockiej prasy o zbawiennych wręcz skutkach wyludniania się dookolnych gmin, przeważnie wegetujących na skarbowym garnuszku, bowiem

im prędzej nastąpi ich zgon, tym większy zysk dla budżetu. Pewnie, skoro rachunek pokazuje, że dopłaca się nawet do grządki pietruszki na zagonie rolniczkii na rencie... Więc co? Winna chłopka przeprosin, że żyje? Ona i cała jej mała ojczyzna?

Coraz częściej pomieszkując w Krynkach zastanawiam się jakoś tak boleściwie nad tym, co mianowicie może uratować je i okola od degeneracji i usychania gospodarczego? Wiem już, że widzenie nadchodzących czasów bierze się ze zrozumienia minionych epok i stuleci. Niczym rodzącego się z nocy dnia. Moja mała ojczyzna zawsze podupadała, gdy zmieniała swą przynależność państwową. Czy to Rosja carów, czy Niemcy pruskie siłą rzeczy prowadziły tutaj politykę kolonialną. Nikt nie zachowuje się inaczej wobec świeżej zdobyczy. Niewiele odróżniał się od tego schematu reżym komunistyczny, będący dyktaturą industrializacji, kaprali przemysłu w jego dziewiętnastowiecznym wydaniu, na którym zasadzał się marksizm. Przeniesienie fabrycznych metod produkcji do rolnictwa i rzemiosła, pegeeryzacja i uresortowiona spółdzielczość spowodowały pozorną stabilność, tak charakterystyczną w "księżycowej ekonomice". Żyło się marnie, ale bezpiecznie. Źle opłacane miejsca pracy notorycznie zabałaganiiali półdarmowi pracownicy. Obecnie powraca w me strony rynek, podświetlając przy okazji obraz nędzy i rozpaczy, zaślaniiany do niedawna atrapami "władzy ludu".

W szeregu oczywistych stąd wniosków nasuwa się kilka pokrewnych im, wartych wymienienia. Mała ojczyzna musi chcieć nią być, zaś Duża — chcieć ją mieć.

Tymczasem u działaczy gminnych brak wycucia epoki; urzędasowskie dojutrkowanie. Mało straszy ich perspektywa rządów na pustkowiach, w najlepszym razie zarządzanie podatkami od mnożących się dacz i resztek rolniczych rodzin. Budżet jest ważny, ale jeśli tylko to, gotówka pocznie płynąć nie z pracy na danym terenie, aliści z najbliższych miast; być może Krynki przeistoczą się w weekendowe przedłużenie Białegostoku, a

w nich samych zapanuje tedy atmosfera sobotnio-niedzielnej sjeisty.

Mała ojczyzna jest ideologią własnej pracy i pieniędzy. Warunki na jej odrodzenie nie będą trwałe wiecznie. Przejmując rolę dobrze opłacanej pokojówki dla spragnionych łona natury wielkomieszczuchów, zatraci swą tożsamość, a zatem i duchową potrzebę samodzielnego istnienia. Od czasu do czasu posłyszysz się tam później najwyżej bełkotliwe bajdurzenie o niej od ćwierćinteligentnego pijaczka w wyprzedniałej restauracyjce na ryneczku, obsługującej obiadek wycieczki ze świata oraz bywające wiosną i latem rodzinie z przybłądłymi pośród blokowisk dziećmi, aby nabrały one tu rumieńców i wigoru na ekologicznie czystym jedzeniu.

Po małej ojczyźnie nie pozostaną wówczas nawet wspomnienia.